Z notatnika wiejskiego reportera: dziadek Józef — msh

Dziadek Józef mieszkał w naszej wsi od niepamiętnych czasów. Na pytanie: „od kiedy”, odpowiadał:
- A żebym, synek, nie skłamał - nie pamiętam. Zima wtedy była i to nie taka jak teraz - tylko prawdziwa. Śnieg sięgał po pachy, i żeby przez niego przejść, trza było deski do butów przywiązać. Pamiętam, jak szliśmy cały dzień przez las; ojciec wytyczał kierunek, patrząc na drzewa, szepcząc jakieś zaklęcia, jakby dogadywał się z diabłem, w którą stronę ma iść. Cały dobytek, ojciec mój Bronisław, ciągnął na saniach. Kury tam były, dwie kaczki i kogut hardy tak bardzo, że lisy bały się podchodzić blisko. Za saniami, przywiązana sznurkiem, szła krowa Duśka, największa pociecha naszej rodziny.
Ojciec zajął pierwszy dom na skraju wioski. Dom nie był piękny i wyglądał gorzej od pozostałych, ale ojciec miał swoją filozofię i tak mówił do matki.
- Anielka, jak przyjdzie znowu uciekać, to nie będzie żal tego porzucać. Do lasu też stąd blisko, więc ukryć się będzie łatwiej.
Tak sobie mój ojciec wymyślił i tak stanęło, bo słowo ojca było święte.
Nasz dom nie był może najpiękniejszy, ale za to dwupiętrowy. Mnie umieszczono na piętrze, w ciemnym pokoju, którego okna wychodziły na las. Strasznie się bałem tej pierwszej nocy, ale kiedy matka rozpaliła pod kuchnią, w domu zrobiło się ciepło i zmęczenie natychmiast wzięło górę nad strachem - zasnąłem.

Nad ranem obudził mnie krzyk matki.
- Bronek, Duśka zniknęła!
I w jej głosie brzmiała prawdziwa rozpacz, bo Duśka dawała dużo pysznego mleka, a to, w tamtych powojennych czasach, był prawdziwy rarytas. Ojciec zerwał się na równe nogi, narzucił na siebie kożuch, na nogi walonki, które kiedyś zdjął z martwego, ruskiego sołdata i wyszedł na podwórze. Ciemno jeszcze było na dworze, więc z nosem przy ziemi wypatrywał krowich śladów, a kiedy już na nie trafił, ruszył niczym pies gończy. Brnął w tym śniegu tak długo, aż trop się urwał.
Kiedy wrócił do domu, kożuch był cały mokry, a z jego brody zwisały sople lodu. Moja siostra Zosia, czteroletni szkrab, usiadła ojcu na kolana i dawaj go łapać za te sople.
- Ale ślicne – sepleniła po dziecinnemu, a ojciec, mimo groźnej miny, pozwalał jej na harce ze swoją brodą.
Po chwili jednak zdjął ją z kolan i poszedł do sieni. Tam z przepastnej skrzyni, którą odziedziczył po swoim ojcu, a która przeszła z nami przez pół świata, wyjął niemieckiego mausera.
- Rany boskie, Bronek! Co ty chcesz zrobić? – zawołała z trwogą moja matka.
A ojciec, nic sobie nie robiąc z jej lamentów, załadował broń, przerzucił przez ramię i wyszedł z domu, a na odchodnym odwrócił się i spokojnym, ale twardym, głosem powiedział:
- Nikt nas, Anielka, okradać nie będzie. Bez Duśki nie przeżyjemy. Idę odebrać, co swoje.
I tyleśmy go widzieli. Podbiegłem do oszronionego okna i patrzyłem, jak mój ojciec brnie w śniegu i coraz bardziej oddala się od domu.
Matka opadła na stołek, który stal przy piecu, i schowała twarz w dłoniach.

Minęło południe, a ojca nie było widać. Korciło mnie, żeby za nim pójść, ale matka jakby wyczuła, co zamierzam, bo ciągle wynajdowała mi jakieś zajęcie, byleby tylko mieć mnie na oku.
Wtem drzwi otworzyły się z hukiem i w progu stanął ojciec. Ledwiem go rozpoznał, bo jego twarz utonęła w parze wylatującej… z końskiego pyska. Koń stał tuż za ojcem i próbował wsadzić łeb do środka izby, ale ojciec pociągnął za uzdę i koń przestał był ciekawski.
- Aniela – rzekł ojciec uroczyście, ale jakimś dziwnym, zmienionym głosem. – Kunia przyprowadziłem.
I uśmiechnął się szeroko, aż jego oszronione wąsy uniosły się do góry.
Matka stała ze ścierką w dłoni. Podparła się pod boki i tonem niby zwyczajnym, ale takim, od którego

mnie zmroziło, zapytała:
- A Duśka gdzie?
Ojciec uśmiechnął się jeszcze szczerzej i, wypuszczając z siebie powietrze, odpowiedział:
- Też jest.
A potem tak, jak stał, runął na posadzkę.
Matka podbiegła do ojca, nachyliła się, żeby mu pomóc, ale nagle wyprostowała się i wycedziła przez zęby.
- Pijanyś?
Ojciec, z pozycji leżącej, spojrzał na nią jednym okiem i, nadal się uśmiechając, potwierdził:
- Pijanym.
A potem położył sobie rękę pod głowę i po chwili przez chałupę przeszło miarowe dudnienie; ojciec spał, a chrapanie niosło się po okolicy niczym jednostajny szum kolei szynowej.
- Józiek! – krzyknęła matka. – Bierz konia i do obory.
Podbiegłem do drzwi, chwyciłem za uzdę i pociągnąłem konia za sobą.
Piękny to był koń; grzywę miał długą i wyczesaną, ogon do samej ziemi, uszy wysoko postawione, a w oczach widać było radość, o ile radość da się z oczu końskich wyczytać. Pokochałem to zwierzę od pierwszej chwili i on chyba też mnie polubił, bo gdy prowadziłem go do stajni, delikatnie skubał mnie chrapami w tyłek.
Wprowadziłem konia i podrzuciłem mu siana, które zalegało w kącie. Chwilę postałem, patrząc, jak pałaszuje, klepnąłem go delikatnie po pysku i wyszedłem.
Tymczasem w chałupie matka próbowała rozmówić się z mężem
Ojciec siedział teraz na stołku, niedaleko pieca i popijał wielkimi haustami wodę z dzbanka.
Kiedy skończył, obtarł rękawem wąsy z resztek płynu i powiedział:
- Duśka już do nas nie wróci.
Mimo ciepła bijącego od pieca, w chacie powiało chłodem. Co ja gadam, synek, mróz przeszedł przez dom taki, jakby w niej nigdy nie palono, a drzwi otwarte były całą zimę.
Matka zerwała się na równe nogi.
- Jak to, Bronek?! – krzyknęła.
- Cicho, matka, cicho – uspokoił ją ojciec i rozpoczął opowieść.
- Kiedym wyszedł z domu, odnalazłem ślady Duśki na śniegu. Szedłem tak długo, aż trop się urwał. Kręciłem się wkoło, jakby mnie giez uciął w… - w tym momencie matka spojrzała na niego groźnie i porozumiewawczo wskazała na mnie głową. – No, w tyłek, oczywiście – kontynuował ojciec. – Po jakimś czasie wszedłem do wsi. Oj, Aniela! Piękna ta nasza wieś! Kościół, karczma i ludzie dobrzy, uczciwi i chętni do pomocy.
Wszedłem do knajpy i od razu zwrócono na mnie uwagę, bo po chwili wszyscy umilkli i patrzyli z zaciekawieniem, ale i z odrobiną niechęci, jak to w przypadku nowych bywa.
- Ktoś mi ukradł krowę – powiedziałem głośno.
Spod okna podniósł się chłop tak wielki, że głową prawie sięgał sufitu.
„Marny mój los” – pomyślałem, ale stałem w miejscu, niczym przybity do podłogi.
Wszystkie oczy zwróciły się w stronę potężnego mężczyzny, a ten, patrząc na mnie, rzekł nad wyraz spokojnym głosem:
- U nas nie ma złodziei.
- Ale mnie krowa zniknęła – powiedziałem z naciskiem.
- Krowa nie igła. Znajdzie się na pewno – filozoficznie odrzekł wielkolud. – Chodź pan – powiedział i sam ruszył do wyjścia.
Nie próbowałem dyskutować i poszedłem w ślad za nim.
- A wy dokąd? – zapytał ostrym tonem olbrzym, widząc, że reszta gości szykuje się również do wyjścia.

Nikt nie odpowiedział. Nieznajomy pokręcił głową, rozejrzał się po knajpie i już wiadomo było, że nikt nie śmie za nami ruszyć.
Na dworze nachylił się do mnie i rzekł:
- Wasza krowa jest u mnie.
Zmroziło mnie. Wykonałem gest, jakbym chciał zdjąć mausera, ale nieznajomy spojrzał groźnie i twardo powiedział.
- Nie ukradłem waszej krowy, tylko ją... adoptowałem.
- Jak to - adoptowałem? – zapytałem zdziwiony.
- A tak to i już – odpowiedział krótko i rzucił. – Idziemy.
Szliśmy chwilę w milczeniu, a ja zastanawiałem się, co będzie dalej. „Ubije mnie gdzieś pod lasem i wilkom podrzuci" – tak sobie myślałem i w duchu zacząłem odmawiać zdrowaśki, kiedy nieznajomy odezwał się znowu.
- Motyl jestem. Heniek Motyl – przedstawił się.
„Ot, pewnie po to, bym wiedział kto, mnie do świętego Piotra odesłał" – pomyślałem, ale odpowiedziałem:
- A ja Bronek. Bronek Włodarz.
I na tym skończyły się konwenanse. Szliśmy dalej, aż dotarliśmy do dużej chałupy. Motyl otworzył bramę i wpuścił mnie na podwórko.
Po chwili otworzył drzwi domu i stanęliśmy w sieni. Z kuchni buchnęło ciepło od buzującego ognia.
- Siadaj, Bronek – powiedział Motyl głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Dzieciaki! – krzyknął tak, że szyby zadrżały w oknach.
Przez chwilę w chałupie trwała cisza. Tylko pokrywka podskakiwała na garnku, który stał na rozgrzanym piecu. Nagle w sąsiednim pomieszczeniu rozległ się tumult i to taki, jakby sto koni wypuszczono z zagrody prosto na pastwiska pełne świeżej trawy. Drzwi otworzyły się z hukiem i do kuchni wtargnęło tornado w postaci ósemki dzieci. Gdy dostrzegły ojca, zamilkły, jakby ktoś głos im wyłączył, a potem patrząc na mnie, chórem zawołały: dzień dobry!
Motyl zadowolony rozparł się na zydelku, a ja zaskoczony wystękałem:
- Dobry – bo widok tej gromadki odjął mi mowę.
- To moje dzieciaki – rzekł gospodarz. – Twoja krowa bardzo nam dzisiaj pomogła – i gdy zauważył, że próbuję się odezwać, pomachał ręką i kontynuował. – Po północy chrust zbierałem w lesie, żeby rano do pieca było co wrzucić. Brnę w śniegu, sanie ciągnie mój kary i nagle słyszę muczenie. Cholera, myślę, ki diabeł, krowa w lesie czy jakiś zwierz tak wyje? Idę więc dalej za głosem. Dochodzę do zabudowań, w których nikt nie mieszka, bo jeszcze nie wiedziałem, że wy już zajęliście tę chatę i… - opowieść przerwało wejście kobiety.
- A ty, Heniek, gdzie się włóczył? – zapytała gniewnie.
Potem dostrzegła mnie i spąsowiała na twarzy.
- Pochwalony – powiedziałem.
A ona skinęła głową. Brzuch miała wielgachny i widać było, że niedługo Motylom przybędzie jeszcze jedna gęba do karmienia.
- Hela, to pan Bronek Włodarz. Krowa jest jego.
Kobieta spojrzała na mnie przestraszona.
- Ale my nie ukradli – zapewniła.
- Spokojnie, Hela. Bronek już wie. Podaj coś do wypicia i przegryzienia? – przymilnie poprosił Motyl.
Kobieta skinęła głową. Spojrzała na gromadkę dzieci i wykrzyknęła:
- A wy tu czego? Sio do pokoju.
Dzieciaki jak jeden mąż rzuciły się do drzwi. Po chwili za nimi zniknęła też Hela Motylowa.
- No, więc jak mówiłem, usłyszałem muczenie – kontynuował Motyl. – Podchodzę bliżej, otwieram

drzwi obórki i zdębiałem, gdy zobaczyłem krowę. A potem przyszła radość, bo z mlekiem u nas krucho, a widziałeś, ile u mnie tego drobiazgu.
Pokiwałem głową na znak, że rozumiem, a Motyl kontynuował.
- Pomyślałem, że uchowała się, gdy uciekali Niemcy, i teraz biedna muczy, bo nie ma kto jej wydoić. Wziąłem postronek, przywiązałem krowę do sań, które ciągnął kary, i wróciłem do domu, i powiem ci, Bronek, że dawno tyle radosnego śmiechu u nas nie było. Hela nadoiła dwa wiaderka i każdy mógł się napić do woli. O, tu jest jeszcze kaneczka – wskazał palcem.
W tym momencie weszła Hela Motylowa. Na stole postawiła dwie butelki samogonu, dwie potężne pajdy chleba i grube na trzy palce kawałki solonej słoniny…

- Dalej nie musisz opowiadać – raptem przerwała ojcu matka, pokazując oczami na mnie.
Tato uśmiechnął się pod wąsem.
- Racja, Aniela, racja – pokiwał głową. - W każdym razie, tak my uradzili we dwójkę z Motylem: Duśka zostanie u niego, a my będziemy dostawać mleko dla dzieciaków i śmietanę. W zamian mamy konia, którego od czasu do czasu będziem im pożyczać – zakończył ojciec.
Matka patrzyła na niego uważnie, ale głos ojca był pewny i nie czuć w nim było wahania ani tym bardziej pytania o zgodę. Już postanowił, że tak właśnie będzie.
- Dobrze, Bronek, zrobiłeś. Niech dzieci piją mleko na zdrowie – powiedziała i wyszła z kuchni.
A ojciec siedział na zydelku i uśmiechał się szeroko do siebie. Potem odwrócił się w moją stronę i powiedział coś, co zapadło mi w pamięć na zawsze.
- Pamiętaj, Józuś, że w życiu trzeba sobie pomagać. I choćby ci się wydawało, że sam sobie od gęby odbierasz, że krzywdzisz siebie i swoją rodzinę, miej na względzie innych, bo oni mogą mieć znacznie gorzej od ciebie.
- Zapamiętam, tatulo – odpowiedziałem i zdałem sobie sprawę, że ten na co dzień srogi chłop, twardy niczym akacjowy klocek, ma jednak dobre serce.
Ojciec wyjął fajkę, nabił tytoniem i, bujając się na stołku, pykał z niej, aż zmęczony zasnął.

- To ta fajka, synek – powiedział dziadek Józef, wyjmując ją z ust. – Niewiele mi po ojcu zostało – rzekł w zamyśleniu – ale mam tę fajkę, którą on sam dostał od swego ojca, i mam tę zasadę, którą mi wtedy przekazał. I powiem ci, synek, że niewiele czasu było potrzeba, bym się przekonał, jak mądra to była rada…
I tak, siedząc przy piecu, obaj wpadliśmy w zadumę. Po chwili dziadek Józef spał, a ja cichutko wyszedłem z izby. Na odchodne odwróciłem się, żeby sprawdzić, czy na pewno śpi, i że nic mu nie jest, ale kłęby dymu, które otaczały go, niczym aureola, rozwiały moje wątpliwości.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

msh, dodano 03.09.2010 09:01

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.